

1.

Przechodziłem tą ulicą już trzeci raz tego wieczoru. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła jedenasta. W oknach domów, które powoli mijałem, migotała niebieska poświata telewizorów. Ulica była pusta. O tej porze rzadko spotyka się tu przechodniów. Byłem przygnębiony i bliski załamania. Po raz kolejny stwierdziłem, że włóczę się tutaj właściwie bez celu, bez żadnej koncepcji. Spróbowałem jeszcze raz zebrać myśli. Przystanąłem, zapaliłem papierosa i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Po raz trzeci zbliżałem się do budynku będącego obiektem mego zainteresowania. Mieszkał w nim niejaki Blicharski, obserwowany przez nas od pewnego czasu. Fronton domu oświetlała jedna z latarni stojących tylko po jednej stronie ulicy. Po przeciwnej stronie dwa rozłożyste kasztanowce tworzyły dobrze zacieniony obszar, obejmujący część chodnika oraz teren za ledwo widocznym w półmroku parkanem.

Bartek był tu o zmroku, paliły się już latarnie. Choć nie miał chyba ku temu powodu, przyzwyczajenie zawodowe kazało mu prawdopodobnie właśnie tutaj zaparkować samochód. Zgasilem niedopałek i przeszedłem na drugą stronę ulicy, pogrążając się w cieniu. Przystanąłem obok parkanu i stałem kilkadziesiąt sekund, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Przez pręty ogrodzenia dostrzegłem zarys fundamentów wznoszonego tu domu. Przeszedłem ulicą do następnej posesji obserwując teren budowy. Nie zauważyłem żadnego składu materiałów budowlanych. Prawdopodobnie właściciel realizował swoje marzenie o domku jednorodzinny w sposób typowy, wieloetapowy, w miarę „zdobywania” cegieł, cementu i stali. Brak tych cennych materiałów na placu sprawił, że z optymizmem przesadziłem jednym skokiem parkan.

Wrodzona ostrożność i dbałość o linię swoich łydek kazała mi jednak stać kilkadziesiąt sekund przy ogrodzeniu. Na szczęście nie pojawił się przy mnie żaden niesympatyczny czworonóg.

Ruszyłem do przodu. Potykając się o jakieś żelazne pręty i kamienie, rozpocząłem przeszukiwanie terenu. Nie trwało to długo. Kolejny w życiu lodowaty dreszcz przeżyłem przy stercie pustych worków po cemencie. Rozgarniając je ręką, poczułem pod palcami zimny, nieogolony policzek. W ułamku sekundy cofnąłem odruchowo rękę. Przemogłem się i ponownie wsunąłem ją w stertę papieru. Temperatura tego policzka nie dawała żadnych nadziei. Bartek był zawsze starannie ogolony – to chyba prawda, że zarost rośnie jeszcze kilkanaście godzin po śmierci. . .

Nie rozgarniałem worków. Nie zapaliłem latarki. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że leży tu człowiek, z którym jeszcze dwa dni temu rozmawiałem. Wyprostowałem się i stałem tak nie wiem jak długo. Poszukiwania powiodły mi się. Jakże daleki byłem jednak od uczucia zadowolenia z siebie.

2.

Spotkanie z szefem nie zapowiadało się zbyt miło. Miałem nikłe widoki na uroczą konwersację lub wymianę cennych uwag o pogodzie. Ściągnięto go tu z domu po jedenastej wieczór, w związku z moim ponurym odkryciem. Czekałem na pułkownika w sekretariacie jego gabinetu. W godzinach porannych można tu podziwiać wystające spod biurka piękne nogi pani Eli i jej ryzykowne, zważywszy miejsce pracy, dekolty. Tego wieczoru dane mi było oglądać jedynie przyszczate oblicze podoficera dyżurnego, bardzo ważnego i przejętego rolą.

Pułkownik przeszedł przez sekretariat, nie patrząc na wyprostowanego jak struna podoficera i na mnie, trochę mniej wyprostowanego. Zostawił drzwi gabinetu otwarte na oścież. Potraktowałem to jako wytworne zaproszenie do środka i wsunąłem się za nim, zamykając drzwi. Rzucił teczkę na biurko, spojrzął na ścienny

zegar, potem z równie dużym zainteresowaniem na mnie i położył rękę na słuchawce zielonego telefonu. Nim ją podniósł, burknął:

– Co tu jeszcze robisz? Idź na dół wypać się!

Kiedy wypowiadał ostatnią zgłoskę, zamykałem już drzwi. Gdy szef jest w takim humorze, trzeba się śpieszyć. Popatrzyłem ze współczuciem na pryszczatego – będzie miał piękną noc!

Wyspałem się zgodnie z przykazaniem na służbowej leżance. O siódmej trzydzieści obudził mnie podoficer, informując, że mam się za piętnaście minut stawić u szefa. Mycie, golenie i dojście do gabinetu zajęło mi dokładnie kwadrans.

– Dzień dobry, pani Elu.

– Dzień dobry, panie Jureczku – zaświergotały czerwone wargi znad liliowego, bardzo dopasowanego sweterka. Podzwaniająca srebrnymi bransoletami, upierścieniona dłoń wskazała mi uprzejmie drzwi.

Wszedłem. Pułkownik machnął ręką na moją nieszczerą próbę regulaminowego zameldowania się i wskazał krzesło. Bez słowa podał mi plik papierów, a sam zajął się czytaniem innych. Przeglądałem pobieżnie wstępne protokoły oględzin zwłok i miejsca ich odnalezienia. Bartek zginął od ciosu zadanego tępym narzędziem w podstawę czaszki. Dwa ciosy nożem w serce zadane później były zbędną pedanterią. Fachowa robota, psiakrew! Oczywiście żadnych śladów nie odnaleziono, nikt nic nie widział, nic nie zabezpieczono z wyjątkiem kilku strzępków materiału na parkanie, być może z mojego ubrania, być może z ubrań jakichś pętaków lub złodziei. Chłopcy z dochodzeniówki pracowali w nocy i mieli zamiar powtórzyć niektóre czynności przy świetle dziennym – pewnie zresztą już to robią.

Szef zauważył, że skończyłem czytać, i powiedział, patrząc mi w oczy:

– Zamknęliśmy rano tego Blicharskiego...

O cholera – przemknęło mi przez głowę. W ułamku sekundy zrozumiałem swoje zaniedbanie! Zachowałem kamienną twarz godną Winnetou i spokojnie odparłem:

– Właśnie miałem pana o to prosić, szefie.

Popatrzył na mnie badawczo, więc pośpieszyłem z wyjaśnie-

niem, które powinno go przekonać, że nie blefuję i wiem o co chodzi.

– Blicharskiego oczywiście nie podejrzewam, ale powinniśmy grać tak, jak chcą przeciwnicy. Nie wolno ich spłoszyć.

Przekonałem go chyba, bo opuścił wzrok na biurko i powiedział:

– Tak... Mam nadzieję, że zdołamy go przekonać, aby dla swojego bezpieczeństwa posiedział kilka dni w odosobnieniu. Prokurator przecież nie da sankcji...

Cholera, dobrze, że szef o tym pomyślał – tak właśnie buduje się autorytet u podwładnych – muszę to sobie zapamiętać na moją generalską przyszłość.

Lektura, którą uraczył mnie szef, nie była zbyt lekkostrawna, tym bardziej że bogato ilustrowana i podana na czczo. Pułkownik, widocznie w trosce o moje zdrowie, wydał polecenie:

– Śniadanie masz przygotowane w 111. I nie pojawiaj się na mieście bez chłopaka, który będzie u ciebie za piętnaście minut! To wszystko!

Przechodząc przez sekretariat, uśmiechnąłem się blado do Eli. Ona również wykonała grymas podobny do mojego. Zauważyłem, że była lekko spięta. Widocznie już wiedziała o śmierci Bartka.

Pokój 111! Chociaż podczas moich dwóch ostatnich spotkań z szefem nie usłyszałem od niego zbyt wiele, wszystko stało się jasne. Pokój 111 to najlepiej wyposażone centrum operacyjne. Kieruje się w nim najważniejszymi akcjami z najwyższym priorytetem. Od tej chwili byłem odpowiedzialny za całą tę paskudną sprawę w Instytucie Fizyki. Pokój 111 oznaczał, że mam do dyspozycji w pierwszej kolejności wszystkie środki, jakimi dysponuje Urząd. Oznaczał jeszcze więcej! Biedny szef oddał w moje ręce swoją karierę i stanowisko nie tylko własne, a prawdopodobnie i swego przełożonego. Tak, sprawa była wyjątkowo paskudna. Podobna zdarza się raz na kilka lat.

Nie bez satysfakcji stwierdziłem, że wybrał właśnie mnie, chociaż nieraz publicznie wyrażał wątpliwości co do moich kwalifikacji umysłowych. Postanowiłem, że przypomnę mu o tym, jeśli oczywiście wszystko skończy się dobrze.

W zaistniałej sytuacji nie zdziwiła mnie suto zastawiona taca w 111. Duży dzbanek pięknie pachnącej kawy, rogaliki, masło, szynka, salami, dżem – powinno mi tego starczyć na dwie doby. Troskliwość „starego” była wzruszająca, choć jak miałem powody przypuszczać – niezupełnie bezinteresowna. Ale z tym „chłopakiem” do spacerów po mieście to już przesadził. Po pierwsze wolałbym dziewczynę, i to ładną, a po drugie nie jestem rachitycznym staruszkiem, którego trzeba przeprowadzać przez jezdnię. Wybaczyłem pułkownikowi w myślach i to, przypominając sobie casus Bartka. Martwi się o nas biedak – to wszystko.

Atakowałem już trzeci rogalik, gdy ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – krzyknąłem z pełnymi ustami.

– Obywatelu kapitanie, sierżant Cichy melduje się. . .

– Dobra, dobra – machnąłem ręką, starając się przełknąć moje smakołyki.

Popiłem łyk kawy, przyglądając się „chłopakowi” z ciekawością. Był taki, jak się spodziewałem. Niepozorny, pięciu groszy bym za niego nie dał. Stał z nic niewyrażającą twarzą spokojnie i z godnością. Hm. . . – gdybym umiał to co on, też byłbym spokojny. Pokazałem mu ręką drzwi do sąsiedniego pokoju i powiedziałem:

– Cóż, zaczekajcie tam, sierżancie.

Wyszedł bez słowa. Cichy! Raczej Uciszacz. Jestem pewien, że jednym ciosem sękatych od ćwiczeń paluchów rozbiłby drzwi, za którymi zniknął. Mucha w odległości stu metrów od niego uzbrojonego w splotwę nie miałaby wielkich szans. Dopiłem kawę. Poczuliem się jednak mniej samotny na tym okrutnym świecie z Cichym w sąsiednim pokoju.

3.

Sprawę, która była ostatnią w życiu Bartka, znałem dopiero od dwudziestu czterech godzin. Zapoznałem się z nią wczoraj rano. Wywiadowca pełniący z nim służbę obserwacyjną pod domem Blicharskiego poszedł za podejrzanym, zostawiając Bartka w samo-

chodzie. Gdy wrócił po kilkunastu minutach, Bartka i samochodu nie było na uliczce. Łączność z nim także się urwała. Nad ranem patrol milicyjny natknął się na ulicy Waryńskiego na samochód Bartka z kluczykami w stacyjce. Pół godziny później czytałem już pękate teczki z napisem „KLEJNOT – ściśle tajne”. Leżały znowu przede mną i nie sprawiały wrażenia, że chcą mi coś ważnego powiedzieć. Mimo to sięgnąłem po nie.

Historia zaczęła się trzy miesiące temu. Służba Bezpieczeństwa otrzymała rutynowe zadanie ochrony transportu, przechowywania i prac prowadzonych nad monokryształem półprzewodnika sprowadzonym z ZSRR. Nie był to zwykły monokryształ, lecz jeden z kilku unikalnych w skali światowej. „Wyhodowano” go w warunkach nieważkości na orbitalnej stacji kosmicznej. Półprzewodniki o takim składzie wytwarzane w kosmosie to nowość. W warunkach ziemskich produkowane są od kilku lat, między innymi w Polsce. Egzemplarze wyhodowane w kosmosie mają jednak nieporównanie doskonalszą strukturę krystaliczną i jednorodność. Podzespoły wytworzone z tych monokryształów – na przykład detektory promieniowania podczerwonego – powinny mieć teoretycznie o wiele większą czułość niż te zrobione z monokryształów „ziemskich”.

Łatwo się domyślić, że takie detektory mogłyby zainteresować pewnego dziarskiego staruszka zza Wielkiej Wody, który postanowił niszczyć z kosmosu rakiety ewentualnego przeciwnika, wykrywając ich start między innymi detekcją w podczerwieni. Stąd właśnie wzięła się konieczność opieki nad „klejnotem” w kształcie walca o kilku centymetrach długości i kilkunastu milimetrach średnicy.

Polska uczestniczyła w eksperymencie kosmicznym z rzeczonym monokryształem. Wynikało to z długoletnich umów o współpracy naukowej. W tym konkretnym przypadku specjaliści radzieccy zaprosili do udziału profesora Andrzejczyka z Instytutu Fizyki, mającego wybitne osiągnięcia w badaniach półprzewodników wieloskładnikowych. W rewanżu za wkład pracy pracownia profesora otrzymała egzemplarz monokryształu, z prośbą o przeprowadzenie badań porównawczych, które miały potrwać pięć, sześć tygodni.

Wprowadzono na ten czas specjalne środki ostrożności. Zebra-

no dyskretnie wszystkie dostępne dane o pracownikach profesora, a ponieważ nie mieliśmy zastrzeżeń, wszyscy zostali dopuszczeni do prac z kosmicznym kryształem. Półpiętro, na którym mieściła się pracownia, zostało wydzielone, a wstęp na nie miała ściśle określona grupa ludzi. W gabinecie profesora zainstalowano nowoczesny sejf z systemem alarmowym. Dwunastu naszych „kowbojów” dyżurowało na zmiany dwuosobowe w instytucie. Ubrani byli w mundury straży przemysłowej. Jeden pilnował wejścia na półpiętro, a drugi „urzędował” przy wejściu do gabinetu profesora, co jak się można domyślać, niezbyt tego ostatniego zachwycało. Sejf mogli otworzyć tylko wspólnie dyrektor instytutu i profesor Andrzejczyk.

Skuteczność wprowadzonych środków była dosyć iluzoryczna, wobec niemożności wprowadzenia najprostszych z nich: krat w oknach i rewizji osobistej przy wyjściu z pracowni. Było to w tym środowisku nie do przyjęcia. Nie pomogły nasze protesty, profesor był nieugięty. Prawdę mówiąc, nie dziwiliśmy się takiemu stanowisku i chcąc nie chcąc, musieliśmy poprzestać na wymienionych działaniach.

Prace rozpoczęto dwa tygodnie temu. W pierwszym etapie przecięto kryształ na pół. Jedną z połówek pocięto na kilkadziesiąt cienkich płytek. Płytki te poddano skomplikowanym procesom technologicznym. Po tygodniu pierwsza partia była gotowa do pomiarów. Przeprowadził je osobiście profesor Andrzejczyk.

W dwie godziny później siedział już w gabinecie mojego szefa błady i wzburzony.

– Panie pułkowniku! Przeprowadziłem właśnie pierwsze pomiary i mam powody przypuszczać, że oryginalne płytki zostały zamienione w trakcie obróbki na płytki z materiału „ziemskiego”. To nieprawdopodobne, żeby ktoś z moich ludzi...

– Przepraszam, profesorze. Czy podzielił się pan z kimś swoimi spostrzeżeniami?

– Nie. Powiedziałem, że nie skończyłem pomiarów i muszę wyjść w ważnej sprawie rodzinnej. Zresztą panowie prosili, żeby w razie czego...

– Tak, dziękuję panu. Profesorze, czy możliwe jest sprawdzenie zasadności pańskich podejrzeń?

– Myślałem już o tym i wydaje mi się, że tak. Mój kolega z Wojskowej Akademii Technicznej ma potrzebne oprzyrządowanie. Myślę, że można uciąć ze dwie płytki z połówki kryształu, który jest w sejfie, i na WAT przeprowadzić obróbkę technologiczną i pomiary.

– Jak długo to może trwać?

– Jeśli posiedzę tam „na okrągło”, to myślę, że dwie doby wystarczą, tylko...

– Właśnie, tylko trzeba wstrzymać dyskretnie prace w instytucie, tak żeby nikt się nie domyślił.

– Ale jak to zrobić? – powątpiewającym tonem spytał profesor.

– Panie Andrzejczyk! Musi pan zepsuć jakieś urządzenie w pracowni...

– Co? Ja, ja mam zepsuć? – oburzył się naukowiec.

– Tak. Pan najlepiej wie, co można zepsuć i jak to uszkodzić, żeby naprawa była możliwa i trwała kilka dni. Czy widzi pan inne wyjście?

– No cóż... Ale, ale... Będę musiał wszystko powiedzieć dyrektorowi instytutu – razem otwieramy sejf.

– Nie szkodzi. Proszę go poprosić o dyskrecję. W moim imieniu również.

Profesor wstał, kierując się do wyjścia.

– Jeszcze jedno słówko – powiedział pułkownik wstając – kochany profesorze, proszę tylko spokojnie. Nawarzyliśmy piwa – trzeba będzie je wypić. Najważniejsze to nie spłoszyć przeciwnika. Dopóki się nie domyśli, że coś wiemy, mamy szansę, że oryginalne płytki będzie trzymał w pracowni, w nadziei skompletowania jak największej ich ilości. Być może znajdziemy sposób, aby je odzyskać. Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Konsekwencje mogą być poważne. Dlatego proszę, aby pojechał pan spokojnie do domu i przemyślał swoje przyszłe działania na terenie instytutu.

Profesor skinął głową i wyszedł.

Dwa dni później zawiadomił telefonicznie pułkownika, że próby wykonane przez niego osobiście w pracowni kolegi dały wyniki

przewidywane dla „kosmicznego” monokryształu. Potwierdzało to w pełni słuszność podejrzeń profesora Andrzejczyka. Wykonany przez niego „akt sabotażu” okazał się niezwykle skuteczny. Uszkodzona napyłarka firmy Balzers miała być niezdatna do użytku jeszcze przez tydzień. Widocznie profesor przecenił możliwości służb remontowych instytutu. Z naszego punktu widzenia był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Mieliliśmy więcej czasu na działanie.

A działać trzeba było szybko. Sytuacja nie wyglądała wesoło. Płytki mogły przedostać się na Zachód. Co prawda było ich za mało, żeby wyposażyć znaczącą część powstającego amerykańskiego systemu w detektory z nich wykonane, ale mogły dostarczyć informacji, czy warto inwestować wielkie pieniądze w ich wyprodukowanie. A to już jest dużo. Bardzo dużo!

Utrata tych płytek na rzecz obcego wywiadu stawiałaby nas w bardzo niezręcznej sytuacji wobec naszych potężnych sojuszników. Okazałibyśmy się niesolidnymi partnerami, co mogło by mieć niekorzystny wpływ na dalszą współpracę w tej dziedzinie.

Pułkownik i jego przełożeni doskonale zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Natychmiast po potwierdzeniu przez profesora Andrzejczyka słuszności jego podejrzeń wprowadzono przygotowane uprzednio posunięcia. Rozpoczęto podsłuch telefonów domowych podwładnych profesora i jego samego. Tą samą procedurą objęto telefony w pracowni instytutu. Okna pracowni i otoczenie budynku, w którym się mieściła, zaczęto obserwować całodobowo, z użyciem noktowizorów. Wszyscy pracownicy profesora byli od dwóch dni dyskretnie obserwowani. Takie właśnie zadanie wypełniał do wczoraj Bartek. Poza jego tragiczną śmiercią nie wydarzyło się nic, co mogłoby nas naprowadzić na jakiś ślad.

4.

Popatrzyłem na zegarek. Dochodziła już dziewiąta. Wstałem, zapaliłem papierosa i podszedłem do okna. Otworzyłem je na oścież i przez chwilę patrzyłem przez kraty na kilka starych drzew, rosnących na wewnętrznym dziedzińcu. Zaczął się piękny czerwco-

wy dzień. Przymknąłem okno i usiadłem za biurkiem. Podniosłem słuchawkę czerwonego telefonu. Zaraz dowiem się, kogo wyznaczył szef moim zastępcą operacyjnym – pomyślałem.

– Leciewicz, melduję się – usłyszałem znajomy głos.

– Witaj, kochanieńki – ucieszyłem się – widzę, że wsadzili cię na tę samą kobyłkę...

– Coś ty taki dziś wesół, Jureczku?

– To humor wisielczy. Coś mi się zdaje, że na tej kobyłce nie dojedziemy do mety... No, ale powiedz mi – ciągnąłem dalej już poważnym tonem – czy wszyscy nasi podopieczni są dzisiaj w instytucie?

– Są wszyscy... Z wyjątkiem Blicharskiego oczywiście.

– To dobrze. Połącz mnie z szefem grupy dochodzeniowej w sprawie Bartka.

Odłożyłem słuchawkę. Po chwili odezwał się dzwonek.

– Porucznik Grabski, melduję się...

– Kapitan Grad. Czy skończyliście już?

– Tak, jesteśmy w Urzędzie.

– Jest coś nowego?

– Właściwie nie – odpowiedział zniechęcony.

– Czy rozmawialiście z mieszkańcami okolicznych domów?

– Tak.

– Wy?

– Nie, chorąży Kownacki.

– Dajcie go do telefonu...

– Chwileczkę...

Po kilkunastu sekundach zgłosił się chorąży.

– Czy rozmawialiście z rodzicami Blicharskiego przed jego aresztowaniem?

– Tak jest.

– Czy coś zauważyli?

– Nie.

– O której to było godzinie?

– Około szóstej trzydzieści.

– A syn?